

Ciężkie boje słabszej płci



BARBARA SZEWCZYK

Reżyser filmowy, absolwentka Szkoły Filmowej w Łodzi
i New York Film Academy w Nowym Jorku

Nagroda Nobla i osiągnięcie orgazmu mają wiele wspólnego. Filmy „Maria Skłodowska-Curie” i „Sztuka kochania. Historia Michaliny Wisłockiej” prowokują pytanie o to, czy emancypacja kobiet jest już zakończona

Na początku tego roku odbyły się premiery dwóch filmów, opowiadających o ciekawych Polkach,. Bohaterki te, mimo iż żyły w bardzo różnych czasach i zajmowały się rozbieżnymi dziedzinami, w podobny sposób były zdeterminowane. Poniekąd też stały się symbolem feminizmu, o którym ostatnio w Polsce coraz głośniej. Francuski film, w polskiej koprodukcji, „Maria Skłodowska-Curie”, w reżyserii Marie Noelle, oraz „Sztuka kochania. Historia Michaliny Wisłockiej”, w reżyserii Marii Sadowskiej, pojawiły się na ekranach kin w czasie, gdy polskie kobiety ze zwiększoną częstotliwością zaczęły wychodzić na ulice – w poczuciu, że ich wypracowana przez lata pozycja zaczyna być zagrożona. Chociaż atmosfera podburzająca nastroje kobiet wydaje się być sztucznie podbijana w służbie politycznej walki, to wraca pytanie o poziom zaawansowania emancypacji i o to, czy jest to wciąż niezakończony proces. W końcu oba filmy wyraźnie dotyczą tego tematu. Zarówno Maria Skłodowska-Curie na początku XX w., jak i Michalina Wisłocka w latach 70. XX w.

musiały walczyć o swoje, ze zdwojoną siłą, między innymi dlatego, że były kobietami. Jednak była to walka poprzez konsekwentną pracę i uparte dążenie do wytyczonego celu, bez noszenia sztandarów i wykrzykiwania haseł. Fascynujący urok pozytywizmu zasada się w pełnej determinacji pracy jednostek, których poszczególne działania składają się na wielką całość, ostatecznie zmieniającą rzeczywistość. Notabene pisał o tym Bolesław Prus w głośnej powieści „Emancypantki”. Piętnował w niej tych, którzy głośno krzyczą, a pochwalał wyteżoną aktywność, bez ubierania jej w zbędne hasła.

Curie-terapia

Historie życia obu pań to dzieje wielkiego wysiłku zawodowego i misyjnego, przeplecione z niezwykle tragicznymi wydarzeniami osobistymi, które nie pozostawały bez wpływu na przebieg ich karier. Dokonania Marii Skłodowskiej-Curie znają praktycznie wszyscy. Wiemy, że odkryła dwa nowe pierwiastki: polon i rad, choć

już nie każdy kojarzy, że Nagrodę Nobla otrzymała tylko za ten drugi. Pierwsza nagroda (współdzielona z mężem Piotrem Curie oraz naukowcem Henrim Becquerem) przyznana została za odkrycie zjawiska promieniotwórczości i badania nad nim. Nie każdy też pamięta, jakie znaczenie dla świata, a nawet naszych osobistych żywotów, miały te odkrycia. Prace nad promieniotwórczym radem doprowadziły do rozwoju nowego sposobu leczenia raka – radioterapii – zwanego jeszcze za czasów Marii Curie-terapią.

W Polsce wyjątkowe było to, że pierwszymi emancypantkami były kobiety pochodzenia szlacheckiego, a nie mieszcanki, jak w innych krajach

Pochodząca ze zubożałej szlachty Skłodowska, wychowywana z trojgiem rodzeństwa tylko przez ojca (matka wcześniej zmarła), od małego była prymuską. Ojciec, nauczyciel fizyki i matematyki, od maleńkości wpajał dzieciom zamiłowanie do nauki. Represje powstania styczniowego nie ominęły rodziny Skłodowskich. Ojciec stracił dyrektorską posadę w szkole, przez co rodzeństwo bardzo wcześnie przekonało się, że żeby przetrwać, trzeba samemu o siebie zadbać, co wiąże się z wytrwałą pracą. W Warszawie, w końcu XIX w., w zaborze rosyjskim, gdzie wychowywała się Maria, kobiety nie miały wstępu na uniwersytety. Dlatego też po odebraniu średniego wykształcenia w jed-

nej z lepszych szkół, zaczęła pracę jako guwernantka w ziemiańskiej rodzinie pod Warszawą. W tym czasie jej starsza siostra Bronisława rozpoczęła studia medyczne we Francji, dostając wsparcie finansowe nie tylko od ojca, ale także od Marii. Siostry obiecały sobie wzajemną pomoc: gdy Bronia skończy studia, ściągnie młodszą siostrę do siebie.

Tym samym młodzianka Skłodowska podzieliła los innych polskich kobiet, których walka o równy z mężczyznami dostęp do nauki i pracy różniła się nieco od przebiegu analogicznej walki ich zachodnich koleżanek. W Polsce wyjątkowe było to, że pierwszymi emancypantkami były kobiety pochodzenia szlacheckiego, a nie mieszcanki, jak w innych krajach. Wielu młodych mężczyzn pochodzących z tej warstwy zginęło w powstaniu albo zostało zesłanych na Sybir. Majątki skonfiskowano. Ich żony pozostały bez środków do życia. Często miały już dzieci, a nie miały wykształcenia.

Francuski to za mało

Wtedy na wielką skalę po raz pierwszy zauważono problem, jakim była nędzna edukacja, oferowana dziewczynkom pochodzenia szlacheckiego. Większość z nich ledwie znała język francuski, umiała malować, może grać na jakimś instrumencie i rachować na tyle, by zajmować się domowym budżetem. Po powstaniu styczniowym masowo przeprowadzały się z prowincji do miast w poszukiwaniu chleba. I tu zaczynał się dramat. Nie tylko brak kwalifikacji utrudniał im znalezienie pracy, ale także brak zgody społecznej na wykonywanie większości zawodów, nawet takich jak sprzedawca sklepowy! Bo przecież obyczajność nie zezwalała na bezpośredni kontakt kobiety i mężczyzny przy sklepo-

wej ladzie. Te dramatyczne historie w swoich powieściach, a szczególnie w mrocznej noweli „Marta”, punktowała Eliza Orzeszkowa. Maria Skłodowska była tutaj i tak w uprzywilejowanej sytuacji – pochodziła z rodziny o tradycjach nauczycielskich i miała pełnego zrozumienia i wrażliwości ojca, który ufał jasności umysłów swoich córek.

Maria – pierwsza studentka wydziału fizyki na francuskiej Sorbonie, pragnęła po studiach wrócić do ukochanej, choć tak umęczonej ojczyzny. Jednak odwiódł ją od tego planu mężczyzna, którego pokochała, i który za żadne skarby nie chciał jej stracić. Piotr Curie – nieco starszy od niej fizyk, który został jej mężem, przekonał ją, że w zniewolonej Polsce nie będzie miała szans na rozwój naukowej kariery. Kariera ta zaś wydawała się stać przed nią otworem, szczególnie po tym, jak zakończyła studia z najwyższymi notami. Ostatecznie uznała, że będzie kiedyś mogła lepiej przysłużyć się krajowi, jeśli pozostanie we Francji. By dokonać tak wielkich i przełomowych odkryć oraz przetrwać w zmaskulinizowanym świecie, w którym długo nie wierzono w jej geniusz i uznawano ją przez lata tylko za asystentkę Piotra Curie, musiała wykazać się nieopisaną siłą i determinacją.

I tego właśnie nie ma w filmie. Więcej o jej wielkości się tam wyłącznie mówi, nie widać zaś scen, które by to dobitnie udowodniały. Jeśli natomiast takowe sceny się pojawiają, to wydają się dość miałkie. Dodatkowo, odnosi się wrażenie, że postać ta jest bierna, że nie ma w sobie siły i nie prze do przodu. Prawdziwa Skłodowska, choć zawsze szczupła i raczej filigranowa, wydawała się jednak być mocną kobietą. Karolina Gruszka, choć jest wspaniałą aktorką i zagrała tę rolę bardzo sugestywnie, to wydaje się być unoszącym się na

wietrze leciutkim motylem. W produkcji tej na pierwszy plan wystawiono jej życie prywatne i głośny romans z żonatym matematykiem, Paulem Langevinem, z którym związała się kilka lat po tragicznej śmierci męża. Romans stał się sensacją po tym, jak jego żona odkryła i opublikowała intymne listy kochanków. Był to jeden z największych ciosów zadanych Marii, niszczący jej karierę zawodową oraz poważnie wpływający na jej zdrowie. Zrozumiałym jest, że reżyserka filmu, Marie Noelle, chciała opowiedzieć o noblistce poprzez jej życie osobiste i emocje. Widz podąża właśnie za emocjami. Jednak ostatecznie historia ta nie oddziałuje tak, jak twórcy by tego chcieli. Może dlatego, że w pierwszej części filmu nie zdołaliśmy zidentyfikować się z bohaterką, zrozumieć jej pragnień i kibicować jej determinacji. Gdyby to wszystko wcześniej w sugestywny sposób zbudowano, później głęboko odczuwalibyśmy dramat, jaki przeżywała podczas tragicznego romansu. Twórcy filmu tłumaczą, że chcieli pokazać prawdziwego człowieka, bo w świadomości społecznej Skłodowska to spiżowy pomnik. Możliwe, że dla niektórych jest niespodzianką, iż wielka naukowiec miała też prywatne, pełne namiętności i dramatów życie. Jednak poza tym, że zyskujemy tę wiedzę, nie przejmujemy się jej losem. Błędem tej produkcji jest brak prawdziwego tematu i jednej linii opowiadania, które są niezbędną podstawą każdej historii.

Pani od seksu

Tym bardziej pociesza fakt, że kino polskie, w tym przypadku, ma się lepiej niż francuskie. Głośny film „Sztuka kochania”, w reżyserii Marii Sadowskiej, to opowieść o Michalinie Wisłockiej, edukatorce życia

seksualnego Polaków. Temat wydaje się dość trywialny – w porównaniu z dokonaniami Skłodowskiej – jednak wbrew pozorom takim nie jest. W latach 70., apogeum epoki PRL-u, Wisłocka walczyła o wydanie książki „Sztuka kochania”,

Twórcy filmu tłumaczą, że chcieli pokazać prawdziwego człowieka, bo w świadomości społecznej Skłodowska to spiszowy pomnik

w której opisywała sposoby na osiągnięcie satysfakcji seksualnej. Misja dotyczyła głównie kobiet, bo z jej doświadczenia – lekarza ginekologa – wynikało, że większość pacjentek ma z tym problem. Seks był wówczas tematem tabu. Wiele kobiet uważało go tylko za, często przykry, obowiązek małżeński, co niejednokrotnie prowadziło do dramatów. Mężczyźni, nie będąc zadowoleni z pożycia małżeńskiego, szukali uciech poza domem. Wisłocka uważała, że jeśli pary będą wiedziały, jak wzajemnie traktować się w łóżku, a mężczyźni nauczą się sprawiać żonom autentyczną przyjemność, to ostatecznie oboje będą szczęśliwsi, bardziej ze sobą związani, a dodatkowo kobiety łatwiej będą zachodzić w ciążę.

Książka (a zarazem film) z pozoru wydają się popularyzować liberalną obyczajowość, a ostatecznie okazują się mieć bardzo konserwatywne przesłanie. Wisłocka walczyła o szczęście w związkach i ich trwałość. Produkcja ta opowiada o jej zmaganiach z możliwością wydania

„podręcznika”. O „tych” sprawach wtedy się nie mówiło, bo to „przecież nie Nowy Jork” (jak argumentuje jeden z potencjalnych wydawców), bo przecież nie ma żadnego problemu, no i wreszcie, bo samej autorce daleko do moralnego prowadzenia się. I tu przechodzimy do spraw osobistych słynnej seksuolog, której życie małżeńskie nie należało do typowych. Osobiste przeżycia zdecydowanie wpłynęły na jej późniejszą misyjną postawę. Wisłocka z początku nie przeżywała przyjemności w pożyciu ze swoim mężem. Odczuwała bóle i stroniła od seksu. Jej mąż natomiast ubóstwiał kobiety i nie miał problemu z wielokrotnym zdradzaniem jej. Czciła go jednak tak bardzo, że zdecydowała się na szokujący krok. Dołączyła do ich życia przyjaciółkę, która miała zaspokajać męża w łóżku. Sama wierzyła jednak, że mąż będzie kochał tylko ją. Ten toksyczny układ trwał kilka lat. Przyniósł na świat dwoje dzieci w tym samym roku – córkę Michalinie i syna jej przyjaciółce, Wandzie. Ukrywano przed innymi, że dzieci mają dwie matki. Oficjalnie były to bliźniaki Michaliny. Ta dziwna pięcioosobowa rodzina żyła razem przez lata w małym mieszkanku, w którym z roku na rok atmosfera gęstniała od chorej zazdrości, niedomówień i kłamstw. Ostatecznie, wszystko się rozpadło. Mąż odszedł, przyjaciółka wyprowadziła się, a jeden z chłopców dowiedział się, że jest synem własnej ciotki.

Jednak cała ta historia, mimo iż sensacyjna sama w sobie, została przytoczona w filmie nie bez powodu. W następnych latach życia nasza bohaterka poznała bowiem mężczyznę, który dbał w łóżku nie tylko o siebie, ale również o nią. Wtedy też Wisłocka odkryła, że jeśli tylko ktoś odpowiednio się nią zajmie, to seks może być dla niej wielką przyjemnością. To był

wielki przełom w jej życiu, olśnienie, które spowodowało, że podjęła się misji napisania „instrukcji obsługi” kobiety (jak sama swoją książkę nazwała). Jej celem było to, by żadna inna kobieta nie musiała tak cierpieć, jak ona. By nie musiała przekształcać swojego życia w koszmar, jaki Wisłocka sobie zgotowała, doprowadzając własną historię do wyżyn absurdu i krzywdząc przy tym kilka osób. W tym filmie przeżycia osobiste bezpośrednio wpływają na determinację bohaterki, dzięki czemu rozumiemy jej pobudki i mocno kibicujemy jej działaniom.

Jak tylko mogłam

W jakimś sensie można uznać to dzieło za feministyczny manifest. Film mówi o kobiecie i został przez kobietę wyreżyserowany. Opowiada zresztą o wielu zeterminowanych kobietach, które uparły się, by wydać książkę „Sztuka kochania”, i bez pomocy których by się to nie udało. Mówi także o dość wstydliwych sprawach, które wbrew pozorom wciąż są aktualne. Bo mimo że żyjemy w kulturze seksu (tak silnie kreowanej po rewolucji seksualnej), to o problemach tej sfery życia mówi się zdecydowanie mniej. Jesteśmy wręcz pod presją tej kultury. Filmy i popularna ikonografia wmawiają, że wszyscy uwielbiają seks i nikt nie ma z tym problemu, a ten

kto go ma, jest śmiechu wart. To presja chyba gorsza niż tabu poprzedniej epoki. Dlatego film prawdopodobnie zrobi dobrą robotę, tym bardziej, że książkę „Sztuka kochania” po raz kolejny wznowiono w zeszłym roku i ponownie trafiła do księgarń.

Emancypacja kobiet w jakimś sensie wciąż jest procesem. Mimo że za rok będziemy obchodzić w Polsce stulecie otrzymania praw wyborczych przez kobiety oraz zrównania ich we wszystkich prawach z mężczyznami, to wydaje się, że społeczeństwo do prawodawstwa dojrzewa o wiele wolniej. Nie dotyczy to zresztą tylko Polski, ale całej kultury zachodniej. To temat na dłuższą rozprawę, choć sytuacja Polek (zarówno na polu edukacji, rynku pracy, jak i partnerstwa w związkach), wbrew pozorom bywa często lepsza od sytuacji ich koleżanek z innych krajów. W rankingu „The Economist” z 8 marca tego roku plasujemy się w pierwszej piątce po krajach skandynawskich! A postawa i determinacja kobiet z wizją i poczuciem misji, takich jak wyżej opisane bohaterki lub twórczynie filmów na ich temat, w wartościowy sposób stają się częścią tego procesu. Jak w jednym z listów pisała Maria Skłodowska-Curie: „W każdej epoce można mieć życie interesujące i użyteczne, a o to głównie chodzi, aby go nie zmarnować i móc sobie powiedzieć, jak Jean Christophe (...): Jak tylko mogłam”.